

*Autor
bestsellerów*
**THE
KILLING**

DAVID HEWSON
**NIEWŁĄCZIWA
DZIEWCZYNNKA**



Na fordeku łodzi pojawiło się coś nowego. Pośród uschłych roślin, gnijącego drewna i rozrzuconych narzędzi niczym połyskująca boja nad zimowymi wodami Prinsengracht stała naturalnej wielkości srebrna plastikowa baletnica wirująca na smukłych nogach. Na jej szyi migotały kolorowe światełka i błyszcząca girlanda.

Sam, mały foksterier Pietera Vosa, usiadł u stóp figurki, zastanawiając się, czy warczeć, czy ją polizać. Zaczepione o obrożę pasmo wielobarwnej lamety przylgnęło do jego twardej sierści. Samowi niezbyt się to podobało.

Trzecia niedziela listopada. Boże Narodzenie było tuż-tuż, nadjeżdżał Sinterklaas. Właśnie dotarł do Holandii po długiej podróży z Hiszpanii i wsiadł na swój odświętnie udekorowany statek, by podążyć w górę Amstel. Dochodziła czternasta piętnaście.

Brygadier Vos, oficer dyżurny na drugiej zmianie, miał przepracować ten miły przerywnik w kalendarzu amsterdamskiej policji w znajomym towarzystwie – dwojga swoich podwładnych, nie zawsze zgodnych przedstawicieli różnych pokoleń. Detektyw Dirk Van der Berg, czterdziestoparoletni beztrocki piwosz, stały element Marnixstraat, poklepał psa po łbie, szczebiocząc czułe słowa. Laura Bakker, która właśnie skończyła dwadzieścia pięć lat, stosunkowo niedawno przeprowadziła się z Fryzji. Stała w ciepłej zimowej kurtce, a długie rude włosy opadały jej na ramiona. Patrzyła spode łba na figurkę na dziobie. Vos zerknął na własne ubranie: ta sama co zwykle granatowa kurtka, sprane dżinsy, zużyte adidas. Zamierzał się w tygodniu ostrzyć, ale wolał pójść na duński film. Tak więc ciemne loki sięgały za kołnierzyk, przyciągając od czasu do czasu karcące spojrzenie Franka de Groota, komendanta komisariatu.

The Wrong Girl

COPYRIGHT © David Hewson 2015

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording or otherwise) without the prior written permission of the publisher.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Ewa Penksyk-Kluczkowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016

Minęło już siedem miesięcy, odkąd przy okazji sprawy dziwnego morderstwa powiązanego z zabytkowym domkiem dla lalek zakończył smętną, beznadziejną wegetację na łodzi i wrócił w szeregi amsterdamskiej policji. Od tego czasu parę rzeczy się zmieniło. A parę nie.

– Co to jest, na miłość boską?! – spytała Bakker.

– Mnie się podoba! – oświadczył Van der Berg, zanim zdążyła wybuchnąć kłótnia. – Cokolwiek to jest...

Dudniąc ciężkimi butami, Bakker pokonała trap, bez pytania wyciągnęła ze skrzynki na listy białą kopertę i zdecydowanym ruchem podała ją Vosowi. Na kopercie widniał stempel rady miasta.

– Założę się, że to kolejne ostrzeżenie na temat stanu łodzi. Wlepią ci grzywnę, jeśli nie doprowadzisz jej do porządku.

– Doprowadzam przecież...

Spojrzała na poczerńiałe deski uszkodzonej kabiny, na szyby poklejone taśmą i pokręciła głową.

– Wyrzucili ją ze sklepu za rogiem – dodał Vos, wskazując balerinę. – Uznałem, że tu będzie pasować.

– Rzeczywiście pasuje – przyznał Van der Berg. Z nadzieją obejrzał się na drugą stronę ulicy, gdzie na rogu Elandsgracht stała kawiarnia Drie Vaten. Był to klasyczny amsterdamski *bruin café*, czyli brązowy bar, ze ścianami z czarnej cegły, gołą drewnianą podłogą i kulawymi krzesłami. Przyjmował gości przez większość dnia i teraz też już się wypełnił. Okoliczni mieszkańcy ściągali tutaj w poszukiwaniu piwa, przekąski, kawy i odrobiny niezobowiązującej rozmowy. Był to drugi dom dla mnóstwa tubylców, w tym dla spragnionych policjantów z komisariatu przy Marnixstraat na końcu Elandsgracht. – Mamy czas na...?

– Jesteśmy na służbie! – przypomniała Bakker, w desperacji wyrzucając w górę długie ręce.

Van der Berg był przysadzistym mężczyzną o przyjaznej, nieco zniszczonej twarzy. Spojrzał z urazą.

– Na służbie będziemy za piętnaście minut. A ja chciałem spytać... czy mamy czas na kawę.

– Nie za bardzo – odrzekł Vos, kręcąc głową.

Czekał ich pracowity, ale przyjemny dzień. Sinterklaas, promienny, przyjazny święty z białą brodą uczci swoje przybycie do Amsterdamu paradą tak znamienitą, że będzie oglądana w telewizji w całej Holandii. Na trasie jego przejazdu zbierze się ponad trzysta tysięcy osób, a liczba policjantów sięgnie czterech cyfr. Centrum miasta zamknięto dla ruchu kołowego. Olśniewający statek powiezie Sinterklaasa rzeką Amstel w otoczeniu rzeszy prywatnych łodzi pełnych amsterdamszczyków, którzy będą próbowali podpłynąć jak najbliżej. Potem znamienity gość przesiądzie się na białego rumaka, na którym poprowadzi orszak przez miasto, aż na Leidseplein. Tam, powitany przez burmistrza, przemówi do zebranych tłumów z balkonu teatru miejskiego. Towarzyszą mu Czarni Piotrkowie, Zwarte Pieten, o uczernionych twarzach, czerwonych wargach, w perukach z czarnych loków. Ubrani w starodawne kostiumy z krezami i w berety z piórkiem, z promiennym uśmiechem rozdają korzenne łakocie każdemu napotkanemu dziecku i wprawiają w zakłopotanie wszystkich zagranicznych gości, którzy nie dowierzają własnym oczom.

Po piątym grudnia Sinterklaas schodzi na dalszy plan, przyćmiony przez Boże Narodzenie. W miejsce *pepernoot* i czekoladowych liter pojawiają się *kerststol* i *musketkrans*, a w witrynach sklepów – iglaste gałązki i sztuczny śnieg.

Swego czasu Vos w tym wszystkim uczestniczył. Kiedy miał własną rodzinę. Partnerkę Liesbeth, córkę Anneliese. Sprawa domku dla lalek bezpowrotnie pozbawiła go tego święta.

Vos pochylił się i uśmiechnął do swojego pieska. Białobrzawy foksterier spojrzał mu w oczy.

– Nie mogę cię zabrać do pracy, brachu. Nawet w taki dzień jak dziś.

Sam wyczuł coś w tonie jego głosu i zmrużył oczy, pełen podejrzeń co do rozwoju wydarzeń.

Pojawiła się smycz. Sam pochylił łeb. Vos odprowadził psa do kawiarni, przekazał go właścicielce Drie Vaten, Sofii Albers, wraz z torbą rzeczy do prania, bo i taką przysługę mu wyświadczała. Sam szarpał za smycz, usiłując wrócić nad kanał.

Van der Berg i Laura Bakker przyglądali się temu w milczeniu. Bakker znowu pokręciła głową.

– No! – skwitował Vos, gdy już wrócił na łódź. – Chodźmy się wmieszać. Wiecie co... po służbie zaproszę was na kolację. Znam taką całodobową knajpkę.

– Masz na myśli piwo, frytki i gotowane jajka gratis? – spytała Bakker.

– Nie... porządną kolację. W restauracji.

– W lokalu, gdzie jest prawdziwa toaleta? Znasz takie? Naprawdę?

– Jeśli zaproszenie obejmuje... – Van der Berg ręką zasymulował wychylenie butelki – ...mnie pasuje. O matko...

Wskazał senny bar o czarnym ceglany frontie, stojący pod kątem w miejscu, gdzie Elandsgracht dochodziła do kanału. Mewy wygrzebywały śmieci spomiędzy kamieni brukowych. Kilku popołudniowych pijaczków stało cierpliwie w kolejce, by wrzucić puste butelki do pojemnika na szkło. Obok nich Sam zapierał się łapami, odmawiając wejścia do środka, i z urażoną miną oglądał się groźnym wzrokiem na kanał.

– Szkoda, że nie możemy go ze sobą zabrać – odezwała się Bakker. – No bo wiesz... Sinterklaas. Tam się przecież nic nie może wydarzyć.

Vos popatrzył na nią bez słowa, po czym podszedł do psa, chwycił go za obroź i wprowadził do środka.

Po powrocie stanął i rozejrzał się po Prinsengracht.

– Nie czytasz gazet? – spytał Van der Berg. – Podobno ma być protest w sprawie Zwarte Pieta. Ludzie uważają, że to rasizm i coś tam jeszcze. Lekceważące czy niegrzeczne.

Gdy to mówił, jeden z Czarnych Piotrków szedł właśnie Prinsengracht w ich stronę. Wysoki, krzepki, z wielką peruką afro, mnóstwem teatralnych loków. Lśniący szkarłatny strój, głupekowata czapka. Umalowana na czarno twarz, czerwone usta. Uśmiechnięty, szczęśliwy jak dziecko, niósł szarą torbę i siatkę na ryby, by sięgać nią w tłum.

– To rzeczywiście jest niegrzeczne – włączyła się Bakker. – Na miłość boską, mamy dwudziesty pierwszy wiek.

Van der Berg skrzyżował ramiona na piersi i rozpoczął wykład, którego Vos wysłuchał już wiele razy. Druga strona sporu.

– To tradycja – zakończył.

– Wieszanie też należało do tradycji. I szczucie psami niedźwiedzia.

– Młoda damo...

Vos zamknął oczy. Nie wyobrażał sobie słów, które bardziej zdołałyby rozwścieczyć bystrą, choć niezdatną detektyw z Fryzji.

Zwarte Piet usłyszał ich spór, dostrzegł Laurę, dobiegł do niej truchtem, ukłonił się z wdziękiem, powiedział, że ślicznie wygląda. Włożył do swojej siatki garść małych ciasteczek, po czym wysunął ją ku niej ostrożnie.

Bakker urwała w pół tyrady, uśmiechnęła się szeroko i przyjęła ciasteczka. Wdzięczyła się, gdy mężczyzna w barwnym przebraniu sadził jej kolejne komplementy.

– Bądź grzeczną dziewczynką – dodał, odchodząc ulicą – bo Mikołaj się o wszystkim dowie.

– Uwielbiam je. – Bakker wpychała korzenne *pepernoot* do ust, chichocząc odrobinę ze skruchą.

– Ja też – odparł Van der Berg, zerkając na ostatnie dwa w jej dłoni.

Nie przejęła się tym.

– A ty co o tym myślisz? – spytała, zwracając spokojne spojrzenie na Vosa. – O dorosłych mężczyznach malujących się na

czarno dla Sinterklaasa? – Ruchem głowy wskazała Van der Berga. – Tak jak on? Czy tak jak ja?

Sam stał w oknie baru, łapką drapał w szybę i machał ogonem w płonnej nadziei.

– No, śmiało – ponagliła Bakker.

– Myślę – odrzekł Vos, patrząc na Zwarte Pieta oddalającego się skocznie wzdłuż kanału – że czas się wziąć do roboty.

Kolejny Czarny Piotrek, tym razem niski i przysadzisty. Ruda broda sztywna od czarnego mazidła. Peruka zsunięta na bok, zbyt lśniąca, nowiuteńka. Przerazone oczy zerkające na wszystkie strony na dźwięk rosnącego harmidru tłumu sunącego ulicą.

Wszystkie rzeczy znalazł tam, gdzie mieli je zostawić, w trzecim śmietniku od końca wąskiego zaułka. Niebieskim, tak jak powiedzieli.

Dwa pistolety. Dwa noże. Trzy granaty. Lina. Kilka kawałków tkaniny, które mogły służyć zarówno za kneble, jak i przepaski na oczy. Pięć tysięcy euro i fałszywy paszport belgijski ze zdjęciem zrobionym dwa dni temu w automacie na Dworcu Głównym.

Jedna kartka zadrukowana instrukcjami. Co robić. Czego wypatrywać. Dokąd się udać.

Urodzony na północy Anglii. W czasie odsiadki wyroku za włamanie po pijaku został radykałem. Po zwolnieniu zapuścił niechlujną brodę, zaczął się ubierać w długą szatę. Krzyczał na manifestacjach towarzyszących uroczystościom pogrzebowym żołnierzy zabitych w Afganistanie. Chodził do przywódców duchowych. Nauczył się wyrzaskiwać hasła, dzgając w kamerę palcem wskazującym.

Gdy zmienił nazwisko na Mujahied Bouali, nie chciała go już znać nawet własna matka, pielęgniarka, owdowiała, gdy miał cztery lata. I świetnie. Robił, co mu kazano, i wreszcie doczekał się misji. Nie w Syrii czy Somalii, choć tego właśnie

oczekiwał. Wyjechał do Amsterdamu, pod skrzydła nowego pana. Surowego i autokratycznego człowieka, dzięki któremu utwierdził się w przekonaniach już od pewnego czasu mu znanych. Tylko że do tej pory nie chciał się z nimi zmierzyć.

Teraz jego wrogami byli wszyscy niewierni. Żadnych kompromisów. Nie ma takiego pojęcia jak cywil. Dekadenckie bezmyślne stada wygodnie rozparte patrzyły na świat rozpadający się na kawałki.

Sprawiedliwi i przekłeci. I nic pomiędzy.

Wraz z pieniędzmi znalazł zdjęcie dziewczynki w różowej kurtce. I nową kartkę z instrukcjami – miał je zapamiętać, a kartkę wyrzucić.

Przeczytał je uważnie, dobrze przyjrzał się zdjęciu. Sprawiało wrażenie zrobionego ukradkiem na ulicy. Przez chwilę zastanawiał się, jak dziewczynka się nazywa. Po czym uświadomił sobie, że to nie ma znaczenia.

Następnie pistolety, noże, linę, szmatki i granaty włożył do swojego czerwonego aksamitnego worka wraz ze słodyczami.

Chrześcijańskimi słodyczami. Ale żywność nie zna wiary.

Wyjął ciasteczko, skosztował. Smaczne. A i to zapewne dzięki przyprawom zrabowanym ze Wschodu.

Z workiem przewieszonym przez ramię wyszedł na ulicę. Przebranie, które mu dali, było jasnozielone, zbyt obszerne, do tego miał brązowy beret z jaskraworóżowym piórkiem.

W innych okolicznościach na pewno czułby się jak głupiec. Ale nie tym razem.

Dom Kuypera znajdował się o dziesięć minut jazdy rowerem od łodzi Vosa, w ruchliwszej, zamożniejszej dzielnicy miasta za Jordaanem. Czterystuletni, wąski, z czterema kondygnacjami i zwieńczony szczytem schodkowym stał przy uliczce o nazwie Herenmarkt niedaleko West-Indisch Huis, niegdyś siedziby Kompanii Zachodnioindyjskiej. Ta lokalizacja zawsze bawiła Henka Kuypera. Na dzie-

dzińcu okazałego przybytku stał posąg Petera Stuyvesanta, siedemnastowiecznego gubernatora holenderskiego państwa o nazwie Nowa Holandia. Arystokrata, który utracił kolonię na rzecz Brytyjczyków i musiał patrzeć, jak Nowy Amsterdam na koniuszku Manhattanu staje się Nowym Jorkiem.

Kuyper całe godziny spędzał przy komputerze, na rozmowach z osobami z całego świata, a niekiedy przechadzał się na niewielki placyk i tam pił kawę, wpatrując się w srogie rysy człowieka, który oddał najważniejszy przyczółek Nowego Świata, i zastanawiając się, czy by mu się podobał dwudziesty pierwszy wiek. Teren pierwszych fortyfikacji Stuyvesanta w Ameryce dzisiaj zajmowała Wall Street; jego kanał przerodził się w Broad Street i Broadway. Mężczyzna, który protezę zapewnił sobie przydomek Stara Srebrna Noga, spoczął w krypcie kościoła przy ulicy Bowery na Manhattanie – gdzie kiedyś znajdowała się jego *bouwerij*, czyli farma – na uboczu dawnej kaplicy rodzinnej. Kuyper trafił tam w trakcie protestów Occupy Wall Street i przysiadł na jakiś czas w pobliżu. Wpatrywał się w skromną kamienną tabliczkę na zachodniej ścianie świątyni, oznaczającą miejsce spoczynku staruszka, i rozmyślał nad odległością dzielącą oba światy.

A jednak większości obywateli dwudziestego pierwszego wieku Peter Stuyvesant kojarzył się jedynie z marką papierosów. Tak to bywa.

– Henk! – z piętra niżej dopłynął głos jego żony, ostry i zaniepokojony. Zawsze znalazła powód do zdenerwowania. – Jesteśmy gotowe. Idziesz czy nie?

– Nie – wyszeptał do monitora.

W niedzielę miał najwięcej roboty. Właśnie nadeszło siedem mejli. Dwa z Hagi. Dwa z Ameryki. Trzy z Bliskiego Wschodu.

Usłyszał jej ciężkie kroki na schodach. Gabinet Kuypera znajdował się w maleńkim szczytowym pokoju pod dachem.

Miał stamtąd widok na brukowaną ulicę i plac zabaw dla dzieci zajmujący otwartą przestrzeń za West-Indisch Huis. Hak z kółwrotkiem na belce nad oknami służył teraz głównie celom dekoracyjnym, ale tkwił tam prawdopodobnie już od trzystu lat. Henk lubił ten pokój, ustronny, odcięty od reszty domu. Tutaj mógł rozmyślać.

– Idziesz?

Stała w progu ubrana w przykrótki płaszcz zimowy, z ręką opartą na framudze i Saskią u boku. Renata Kuyper była Belgijką z Brugii. Poznali się pewnego upalnego lata, gdy on odbywał misję w Kosowie. Ona, wówczas studentka, brała udział w projekcie badawczym. Śliczna brunetka o krótkich włosach i żywym, nerwowym sposobie bycia. Przeżyli krótki, namiętny romans w gorących pokojach hotelowych pachnących drewnem cedrowym i nią. Wokół nich świat Bałkanów odbudowywał się powoli z koszmaru wojny domowej.

Henk Kuyper ledwie to zauważał. Byli zakochani, i to rozpaczliwie. W środku tego szaleńczego lata umarł nagle jej ojciec, wdowiec. Powiadomiono ją o tym telefonicznie, gdy leżeli w łóżku. Od tej chwili kurczowo trzymała się Henka. Przed upływem trzech miesięcy wzięli ślub. Po kolejnych trzech miesiącach, już po powrocie do Amsterdamu, Renata była w ciąży i próbowała pogodzić się z myślą o roli żony i matki w gwarnym, nieznanym mieście, w którym nie miała żadnych przyjaciół.

– Idziesz, tatusiu? – powtórzyła pytanie Saskia.

W styczniu skończy dziewięć lat. Niemal dokładna kopia matki. Szczupła, blada twarz. Szerokie kości policzkowe. Blond włosy, które pewnego dnia zmienią barwę na ciemną, tak jak Renaty. Oczy niebieskie i przejrzyste jak szafiry. Nie uśmiechała się za dużo, w czym też przypominała matkę. Ale tak teraz wyglądała rodzina.

– Rzecz w tym, kochanie... – Wstał od biurka i przykucnął przed nią, dotknął jej starannie uczesanych włosów. Na spo-

tkanie z Sinterklaasem i jego małymi czarnymi chochlikami należało wyglądać jak najlepiej – ...że tatuś musi pracować.

Oficjalnie Kuyper był konsultantem do spraw ochrony środowiska. Specjalizował się w kwestiach skażeń gruntu, studiował to na uniwersytecie. Czasami udawał się z misją, głównie do krajów Trzeciego Świata, niekiedy do tych niebezpiecznych. Ale to była tylko praca. Słowa do umieszczenia na wizytówce. Co najmniej połowę swojego czasu spędzał w sieci, wypisując porady na forach aktywistów na każdy temat, od szczelinowania hydraulicznego po biopaliwa i żywność modyfikowaną genetycznie. Atakując przemysł i prawicę. Tu i ówdzie wszczynając pożary. Gdzie indziej je gasząc. Zawsze pod tą samą anonimową tożsamością internetową, którą wybrał z rozmysłem: Stuyvesant. Jako awatara używał nawet portretu staruszka.

Saskia podeszła do niego z wydętymi usteczkami.

– W ogóle nie chcesz zobaczyć Sinterklaasa?

Uśmiechnął się tylko.

Zaczęła odliczać na palcach schowanych w rękawiczkach.

– Nie widziałeś go na łodzi. Nie widziałeś, jak jechał na koniu...

Żona wpatrywała się w niego.

– Możesz przerwać ratowanie świata, Henk. Na jeden dzień. Pobyć z rodziną.

Kuyper poprawił okulary na nosie i westchnął. Następnie wskazał komputer.

– Poza tym... Wiecie, że nie za bardzo sobie radzę z tymi wszystkimi ludźmi. Tłumy... – Dotknął policzka córki. – Tatuś nie lubi tłumów.

Dziewczynka tupnęła nogą i gwałtownym gestem objęła się chudymi rączkami odzianymi w jasnoróżową kurtkę, którą jej kupił przed tygodniem. Z kucykami z *My Little Pony*. Jej ulubionej serii książeczek i filmów. Ojciec wyciągnął rękę i ścisnął ją za łokieć.

– Sinterklaas przyszedł w tym roku wcześniej i przyniósł ci kurteczkę, prawda?

– Nieprawda. – Dąs tylko przybrał na sile. – To od ciebie.

– Może jestem Czarnym Piotrkiem. W przebraniu. – Ruchem ręki wskazał drzwi. – No, idźcie. Wieczorem zjemy sobie pizzę. Wynagrodzę wam to. Obiecuję.

Słuchał, jak pokonują wąskie schody. Jedne kroki ciężkie, drugie lekkie. Następnie przysunął swój fotel do okna i wyrzwał na ulicę. Żona prowadziła drogi trójkołowy rower, który im kupił. Pomarańczowy. Barwa Holandii. Wskoczyła na siodełko. Saskia usadowiła się na wyściełanym miejscu dla dziecka na przodzie. Nazywała je wiaderkiem.

Zadzwoił jego telefon. Rozmowa trwała najwyżej minutę.

Po drugiej stronie ulicy zobaczył swojego pierwszego Zwartego Pieta. Po mieście wędrowały ich setki, uwodziły mijanych przechodniów. Każdy mógł sobie wypożyczyć kostium, zdobyć farbę do twarzy i czerwoną szminkę. Włożyć tę głupią perukę, falbaniastą bluzę, barwne spodnie, złote kolczyki. Potem kupić torbę słodczy w miejscowym sklepie i rozdawać je wedle uznania.

Niektórzy spośród ludzi, z którymi pracował, narzekali na to zjawisko. Że to rasistowskie stereotypy. Kuyper robił to, co najbardziej lubił robić on-line: tłumaczył, wyjaśniał. Zwarte Piet prawdopodobnie nie miał nic wspólnego z Afryką. Jego wizerunek wiązał się z jakąś starszą, bardziej mroczną tradycją osadzoną w czymś o wiele bardziej nieprzeniknionym niż prozaiczna geografia. Jedna z teorii mówiła, że Zwarte Pieten to diabły ujarzmione przez Świętego Mikołaja w imię dobra.

Sam nie było do końca przekonany, czy któraś z tych teorii jest w stu procentach słuszna. Ale i tak lubił poprawiać ludzi.

Gdy tak patrzył, gdzieś z boku Herenmarkt wyłoniła się druga barwna postać. Można było odnieść wrażenie, że ukrywała się tam za ślizgawkami na placu zabaw. W oczekiwaniu.

Saskia pomachała i krzyknęła coś. Słyszał, jak jej podekscytowany głos unosi się znad brukowanej ulicy.

Ten nowy był ubrany na ciemnozielono, miał brązową czapkę z różowym piórkiem. W ogóle się nie uśmiechał.

Jeśli nawet Zwarte Piet usłyszał dziewczynkę, nie okazał tego. Nadal prowadził przerdzewiały rower, a potem wszedł do staromodnego blaszanego pisuaru, który stał na końcu Herrenmarkt przy moście prowadzącym ponad Brouwersgracht do centrum.

Dzieci nie zawsze dostają to, o co proszą, pomyślał Henk Kuyper. I wrócił do swoich wiadomości.

Zanim dotarli do Leidseplein i centrum parady, Bakker już się cieszyła, że nie wzięli ze sobą Sama. Była prowincjuską z Dokkum, w Amsterdamie mieszkała raptem od wiosny. W domu ze dwa, trzy razy widziała paradę w telewizji, ale rzeczywistość zdecydowanie przerastała relację.

Miasto wypełniło się wielką szczęśliwą ciżbą. Tłumy ciągnęły się od doków aż po centrum i dalej, do muzeów i Grachtengordel. Starzy i młodzi z brokatem i innymi ozdobami we włosach. Ojcowie z berbeciami na ramionach. Matki trzymające na rękach niemowlęta zbyt małe, by pojąć, o co chodzi w tym całym hałasie i feerii barw. Każdy za wszelką cenę starał się zerknąć na samego Sinterklaasa, odzianą na czerwono postać jadącą ulicą Rokin na wielkim białym koniu i machającą do tłumów.

Vos i Van der Berg na pewno wiele razy odbyli służbę w dniu parady. Wiedzieli, gdzie stanąć, co robić. Głównie słuchali radia, stali na skraju tłumy. Wypatrywali kieszonkowców, pijaków i nacpanych awanturników. Namierzonych szybko wykluczali.

Jeden Zwarte Piet o lepkich palcach już siedział w areszcie, zwinięty przez Van der Berga z nadzwyczajną biegłością, gdy próbował wysunąć portfel z tylnej kieszeni człowieka na tyle

durnego, by przyjść dziś tu tylko w bluzie i džinsach. Większą wyrozumiałość okazywali opitym piwem głupcom, którzy sami w sobie stanowili niegroźne utrapienie. Szybkie skinienie głowy Van der Berga, słowa wsparcia Vosa, paskudne spojrzenie Bakker i idioci szli swoją drogą.

Mundurowi zajmowali się widoczną stroną działań policyjnych – wprowadzali ludzi w wydzielone rejony, przeganiali ich z jezdni, którą Sinterklaas przemierzać miał centrum Amsterdamu. Raczej nie dopuszczali do problemów, niż przejmowali kontrolę. Trzysta tysięcy osób... żadne siły policyjne na świecie nie miałyby szansy lepiej sobie w tej sytuacji poradzić.

Teraz śledzili paradę na jej ostatnim odcinku, tuż przed Leidseplein. Była piętnasta dwadzieścia. Za dziesięć minut dotrze tu Sinterklaas, powita go sam burmistrz. Następnie o czwartej zwróci się do amsterdamskich dzieci z balkonu teatru i potem każdy zajmie się sobą – jedni pójną do budek z hot dogami, inni do straganów ze słodyczami, jeszcze inni do sklepów. Na koniec, zadowoleni, udadzą się do domów.

Vos i Van der Berg rozmawiali wesoło z ledwie trzymającym się na nogach mężczyzną w kostiumie klauna, przekonywali go, by poszedł do domu i położył się do łóżka.

Kolacja z tymi dwoma. Zwykle odnosiła wrażenie, że kole-dzy żywią się piwem i przekąskami barowymi. Nie wyobrażała sobie, co Vos rozumie pod pojęciem „porządnego” posiłku. Ani jakie restauracje mu się podobają. Poznani się siedem miesięcy temu, przy sprawie domku dla lalek. Od tego czasu stała się pełnoprawnym członkiem jego zespołu śledczego. Coś ich łączyło. Byli nie tylko współpracownikami, lecz także przyjaciółmi. Vos z każdym nawiązywał takie relacje. Współ-czuła mu. Podejrzewała, że on z kolei współczuje jej, bo jest samotną młodą kobietą z prowincji. Że ma niewielu przyjaciół w Amsterdamie.

A miała ich mniej, niż sądził. Szczerze mówiąc – żadnych.

Zaczynała się zastanawiać, gdzie spędzi Boże Narodzenie – czy w Amsterdamie, czy w rodzinnym Dokkum – gdy usłyszała za plecami przybierający na sile wściekły głos. Odwróciła się. Wysoka kobieta w drogim modnym płaszczu wymyślała mundurowej policjantce, prawą ręką ściskając mocno dziewczynkę o znużonej minie, ubraną w jasnoróżową kurtkę z kucykami z *My Little Pony*.

Bakker podeszła, pokazała legitymację służbową, uśmiechnęła się i zaproponowała pomoc.

– Może mnie w końcu ktoś wysłucha? – spytała kobieta, z każdą minutą coraz bardziej wściekła. – Tu się dzieje coś niedobrego.

Oude Nieuwstraat znajdowała się pięć minut piechotą od domu Kuyperów na Herenmarkt. Wąska, stara uliczka za kanałem Singel. Hanna Bublik, uchodźczyni z Gruzji, od dziewięciu miesięcy mieszkała tam ze swoją ośmioletnią córką Natalią w pokoju na ostatnim piętrze wąskiej kamienicy od strony Lijnbaanssteeg. Całe ich mieszkanie było niewiele większe od gabinetu Henka Kuypera. Miały do dyspozycji dwa wąskie łóżka, łazienkę i toaletę na spółkę z młodą Filipinką Chantal Santos mieszkającą piętro niżej.

Na pierwszy rzut oka za dnia wydawało się, że to jedna z wielu amsterdamskich ulic pieszych: zaparkowane rowery, spożywczy na rogu, kilka coffee shopów, sklepy dla dorosłych. Za rogiem na Spuistraat można było skosztować tajskiej kuchni, zapisać się do scjentologów, wsiąść w tramwaj albo przejść się do miejskiego muzeum. Ale jak na zwyczajną część miasta Oude Nieuwstraat miała za dużo wielkich zasłoniętych okien. Władze urządziły tu Singelgebied, drugą po De Wallen dzielnicę czerwonych latarni. Tańsza, częściej odwiedzana przez miejscowych. Mnóstwo kabin do wynajęcia.

Hanna wiedziała, że dzisiejsze popołudnie upłynie pod znakiem Sinterklaasa. Pragnąc więc zarobić, ile się da, rano

zostawiła córeczkę z Santos i na kilka godzin zajęła pierwszą wolną kabinę.

Dwóch klientów. Jeden z Danii, jeden z Londynu. Szybko, łatwo, niezobowiązująco. Po odliczeniu kosztów miała na czysto siedemdziesiąt euro. Wystarczy, by spędzić popołudnie z Natalią.

W tym roku, zaczynając od Sinterklaasa, dziewczynka zobaczy, co to jest radosne Boże Narodzenie. Tak sobie Hanna obiecała. Natalia była jeszcze malutka, gdy w czasie krótkiej wojny o Osetię Południową Rosjanie i Osetyjczycy wkroczyli do ich rodzinnego miasta Gori. W walkach zginął mąż Hanny, ojciec dziewczynki. Był piekarzem z przygranicznego miasteczka. Gdy zginął, krewni nie chcieli znać jego gruzińskiej żony i dziecka. Jej własna rodzina, od początku przeciwna małżeństwu z Osetyjczykiem, też się odwróciła. Z biedy i desperacji ostatecznie ruszyła na Zachód i wędrowała z córką przez Europę. I robiła, co mogła, by zapewnić im chleb.

– Mamo – powiedziała Natalia, przymierzając nową kurtkę. – Skąd to masz?

Różowa. Wzorek *My Little Pony*. Natalia rosła. Zadawała pytania. Zaczynała rozumieć. Władze holenderskie traktowały je z szacunkiem. Dziewczynka chodziła do porządnej szkoły, szybko uczyła się języka, również angielskiego. Ale ciągle mieszkały w maleńkim pokoiku na ostatnim piętrze budynku w środku dzielnicy czerwonych latarni, a Hanna pracowała popołudniami i wieczorami, zwykle sześć dni w tygodniu.

– Znalazłam ją. Może nie spodobała się jakimś bogatym ludziom. – Uśmiech. – A tobie się podoba?

Dziewczynka w odpowiedzi uśmiechnęła się promiennie. Blond włosy. Błada, inteligentna twarzyczka. Dzieci kształtował świat, którego doświadczały. W wieku ośmiu lat Natalia Bublik nie miała już kochającego ojca, domu, została odrzu-

cona przez wszystkich dalszych krewnych i widziała, jak jej matka została prostytutką.

Umiała rozpoznać kłamstwo. Wiedziała też, kiedy je zignorować.

Natalia przytuliła kurtkę, najdroższe ubranie, jakie miała w życiu. Za pół roku z niej wyrośnie. Matka będzie się zastanawiać, skąd wziąć pieniądze na następną.

Kusiła łatwiejsza droga. Chantal Santos ciągle ją Hannie podsuwała. Przestań pracować w kabinach, na własną rękę. Zgłoś się do Turka, który ma kontakty w całym rejonie. Cem Yilmaz, wielki i umięśniony, z drogim mieszkaniem nieopodal placu Dam, dzięki niemu można zdobyć dojskie do wszystkich ekskluzywnych usług towarzyskich w mieście. Yilmaz kontrolował większość luksusowego seksbiznesu. Za pośrednictwem Filipinki przekazał obietnicę, że podwoi jej zarobki, a będzie musiała dwa razy mniej harować.

– Chodźmy, mamó – powiedziała Natalia i wzięła Hannę za rękę.

Pierwsza zima w Amsterdamie. Była dobrą matką, przygotowała się. Natalia musiała ją zapamiętać na zawsze. Pójdą zatłoczonymi ulicami, będą patrzeć na Świętego Mikołaja jadącego przez miasto na koniu. Posłuchają, jak przemawia do dzieci z balkonu na Leidseplein. Potem zjedzą frytki z majonezem i będą chichotać niczym dwie dziewczynki. Wreszcie wrócą do pokoju na Oude Nieuwstraat, Hanna ułoży córeczkę do snu, znajdzie wolną kabinę, rozbierze się do bielizny, usiądzie w oknie na stołku i zaczeka na klienta. Odbierze interkom, gdy zadzwoni dzwonek. Wynegocjuje stawkę. Otworzy drzwi. Zaciągnie zasłonę. Odetnie się. Zrobi swoje. Będzie czekać na następnego.

Chantal dopadła je na schodach. Natalia na jej widok zwiesiła głowę. Nie dogadywały się. Nic dziwnego. Filipinka nie próbowała się kryć ze swoim zajęciem. Była dumna ze swojego mrocznego, ponętnego spojrzenia, przechwalała się pieniąd-

mi, które dzięki niemu zarabia. Czasami Hanna Bublik nie miała wyboru i musiała zostawiać z nią córkę.

– Zaczekaj na dole – poleciła Natalii i patrzyła, jak różowa kurtka znika za zakrętem schodów.

– Znowu u mnie był – powiedziała Filipinka, gdy dziewczynka zniknęła.

– Yilmaz?

– Cem.

Miała na sobie kusy T-shirt, a pod spodem coś, co wyglądało jak bikini. Hanna zastanawiała się, co się z tym dzieckiem stanie, gdy pewnego dnia zda sobie sprawę, że się starzeje.

– Już mówiłam: nie chcę pracować dla nikogo.

– Pracujesz dla kogoś za każdym razem, gdy ściągasz majtki. Mam rację?

Hanna wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia dziewczyny, odwróciła ją. Na jej skórze widniał znak właściciela, jasnoniebieski, wykonany prymitywnie tatuaż. Dwie litery wymyślnego kroju, inicjały: CY.

– Nie życzę sobie na plecach niczyjego podpisu. Powiedz mu, że nie, dziękuję.

– Nie bolało tak bardzo – gderała Chantal.

– Nie chodzi o ból – odparła, zastanawiając się, czy to dziecko w ogóle rozumie, co widziało w ciągu dwudziestu ośmiu lat swojego życia.

– Już za samo to dał mi dwa tysiące euro. – Postukała w niebieski gryzmoł. Miał kilka tygodni. Kąśliwy uśmiech zniknął na chwilę. – Im dłużej to przeciągasz, tym gorzej. I nie muszę już siedzieć w tym głupim oknie.

– Mamó? – dobiegł głos z dołu. – Idziemy?

Hanna Bublik uśmiechnęła się z trudem. Potrzebowała Chantal. W każdym razie czasami.

– Dzięki, że dzisiaj rano popilnowałaś Natalii.

– Nie pracuję rano – odparła dziewczyna. – Nie muszę.

– Idziesz na spotkanie z Sinterklaasem?

Uśmiech. Szeroki, szybki i nieszczerzy.

– Mam spotkanie z innym tatuśkiem, dzięki. Cem je umówił.

Chciała jeszcze coś dodać.

– Nat mówiła, że ma koszmary. Że śnią się jej potwory. Jakieś wielkie i czarne. Przychodzą po was. Wspinają się schodami.

– Natalia. Koszmary...?

– Potwory, i to w środku dnia. – Filipinka zaśmiała się krótko. – Ach, te dzieciaki...

– Baw się dobrze – ucięła Hanna i zniknęła na schodach. Gdy już była na dole, wzięła córkę za rękę i wyszły na Oude Nieuwstraat.

Spytała Natalię o potwory. Pojawiły się rok czy dwa po Gori. Sądziła, że zostały w Gruzji.

Usłyszała odpowiedź, ale niewiele jej to dało. Chantal Santos, nierozgarnięta kurwa, która pakowała się po uszy w coś, czego nawet nie rozumiała, pewnie usłyszała lepszą.

– Jak wyglądały? – spytała Hanna, chociaż tę odpowiedź z kolei znała. Mogła je sobie wyobrazić.

Czarne demony, którym towarzyszył dym i grzmoty, ogień buchający z trzewi, iskry i maleńkie błyskawice. Takie jak te, które spadły na Gori owej przeklętej nocy, gdy rozpadł się ich świat.

– Tak jak zawsze – odpowiedziała jej córka cichym, pewnym głosem i nie dodała nic więcej.

Hanna owinęła się ciasno tanią czarną nylonową kurtką. Na ulicy było zimno.

– Nie ma żadnych potworów – powiedziała. – Gdyby istniały, zabiłabym je.

Stojąc z ramionami skrzyżowanymi na piersi, równie sceptyczna jak policjantka w mundurze, Laura Bakker wysłuchiwała historii Renaty Kuyper. Elegancko ubrana, schludne brązowe

włosy, szczupła, niespokojna twarz, belgijski akcent. Jechała wraz z córką rowerem cargo z Herenmarkt, zaparkowały w bocznej uliczce, oglądały paradę. Całą drogę z domu do Leidseplein śledził je Zwarte Piet na zardzewiałym jednoślądzie. Tylko patrzył, nie zbliżał się. Nie proponował słodczy. Obserwował je.

Mundurowa zerknęła na młodą detektyw i przewróciła oczami.

– Dlaczego miałyby to robić? – spytała Bakker, gdy orkiestra przed teatrem znowu zaczęła grać tandetną biesiadną muzykę.

– Skąd mam wiedzieć?

Było w niej coś ostrego, jakaś nerwowość.

– Dzisiaj jest Sinterklaas. Mamy tu pełno Zwarte Pieten – ciągnęła Bakker. – Całe setki. Może widziała pani kilku...

– Ten był na rowerze. Śledził nas. Obserwował. Był ubrany na zielono...

– Mnóstwo z nich jest ubranych na zielono – przerwała jej mundurowa.

– Proszę posłuchać...

– Może powinna pani pójść z córką do domu – podsunęła Bakker. – Chyba jest pani zdenerwowana.

Z placu dobiegł ryk, a po nim szaleńcze oklaski. Pojawił się właśnie Sinterklaas na swoim koniu w otoczeniu armii Zwarte Pieten. Niedługo wyjdzie na balkon, a wówczas tłum ucichnie, by wysłuchać uroczystej mowy.

– Widzę go – powiedziała kobieta. – Jest tam...

Wskazywała zieloną postać blisko wylotu jednej z wąskich uliczek wypełnionych restauracjami dla turystów. Bakker odwróciła się z westchnieniem, by popatrzeć we wskazanym kierunku. Popatrzeć tak, jak nauczył ją Vos. On nie widział po prostu świata dokoła. Ludzi, którzy wpasowują się w wąskie, niekiedy chaotyczne uliczki Amsterdamu. Myślał o nich. Próbował sobie wyobrazić, co ich tu sprowadziło, jaka historia się z nimi łączy.

I gdy Bakker zrobiła to samo, stwierdziła, że dostrzega coś interesującego. Ten Zwarte Piet był średniego wzrostu, pomalowany na czarno, miał wielką perukę kręconych włosów, zielony satynowy kostium, beret i workowate spodnie. Trzymał czerwony worek, który powinien być wypełniony słodyczami dla dzieci. Ale ten Zwarte Piet nie rozdawał słodyczy. Na worek w ogóle nie zwracał uwagi. Rozglądał się. Wypatrywał czegoś.

Nie miał zardzewiałego roweru, coś jednak z nim było nie tak.

Vos i Van der Berg wciąż zajmowali się pijakiem, który najwyraźniej gotował się do bitki. Bakker poleciła kobiecie i jej córce, by zostały z mundurową, a potem podeszła do Czarnego Piotrka zagadać.

Tyle tych dziwnych postaci kręciło się teraz dokoła. Kilku zjeżdżało nawet po linie z jednego z budynków. Każdy, kto chciał zdobyć kostium, rozdawać słodycze i bawić się, miał szerokie pole do popisu.

– Pewna kobieta sądzi, że ją pan śledzi. To zapewne nieporozumienie...

Zadnej odpowiedzi. Tylko dwoje bardzo białych i bardzo wściekłych oczu spoglądało na nią spod lśniącej, kudłatej peruki.

– Może pokazałby mi pan jakieś dokumenty?

Burknięcie i nagle ręce w rękawiczkach sięgnęły pod luźną gumkę zielonych spodni, by wydobyć stamtąd przedmiot, który rozpoznała na pierwszy rzut oka.

Była to legitymacja służbowa Koemana, innego agenta z zespołu Vosa.

Obejrzała go od stóp do głów, tłumiąc chichot. On zaś skrzyżował ramiona na piersi i tupnął prawą nogą w bruk.

– Jesteś tu służbowo? – spytała. – Czy to jakieś zajęcia w czasie wolnym?

Na ogół był żalonym gnojem. Musiała zadać to pytanie.

– A jak sądzisz?

– Nie wiem. Dlatego pytam.

Przymknął oczy na chwilę.

– Prowadzę obserwację w terenie.

Wskazała kobietę, która złożyła skargę. Renata Kuyper właśnie znowu wymierzyła palec w policjantkę.

– Śledziłeś ją od Herenmarkt?

– Nie – odparł z sarkastycznym jękiem. – Dlaczego miałbym to robić?

– Mówi, że śledził ją Czarny Piotrek. Ubrany na zielono.

Koeman sięgnął do swojego worka i z ponurą miną poczęstował ją korzennym *kruidnoot*.

Tandetna muzyka umilkła, dzięki czemu usłyszeli piskliwy krzyk Renaty Kuyper oraz przybierającą na sile wrzawę tłumu. Bakker obejrzała się na balkon teatru. Sinterklaas, z burmistrzem u boku, właśnie podchodził do mikrofonu.

Czegoś brakowało.

Dziewczynki w różowej kurteczce.

Bakker ruszyła z powrotem szybkim krokiem. Koeman za nią.

– Henk! Henk! – krzyczała kobieta do telefonu. – Na miłość boską, gdzie jesteś? Przyjedź tu, dobrze? Saskia gdzieś odeszła...

Urwała, patrząc groźnie na Koemana.

– To policjant na służbie – wyjaśniła Bakker.

Policjantka mundurowa wyraźnie się irytowała.

– Jak już mówiliśmy, dzisiaj jest Sinterklaas. Dzieci się gubią. Poszukamy jej. Jezu, nie musi pani robić tyle hałasu.

Kobieta wciąż krzyczała do telefonu, Bakker się domyślała, że nagrywa się na sekretarkę.

– Znajdziemy ją... – powtórzyła.

Ten harmider przyciągnął uwagę Pietera Vosa. Poklepał pijaka po plecach i odesłał do wyjścia, po czym podszedł do zbiorowiska. I on, i Van der Berg chyba od razu rozpoznali Koemana. Może przebierał się tak co roku.

Bakker spojrzała na nich. Radio trzymała w ręku, czujna, gotowa.

– Zaginęła dziewczynka. W różowej kurtce. – Odwróciła się do kobiety. – Jak się córka nazywa?

Kobieta przestała krzyczeć do telefonu.

– Saskia Kuyper. Ma dopiero osiem lat.

Bardzo podobna do matki, przypomniała sobie Bakker. Ta sama spięta, szczupła, blada twarz.

Vos skinął głową, przedstawił się i zaczął wyjaśniać, jak to policjanci są specjalnie wyszkoleni, by radzić sobie z problemem dzieci gubionych na placu. Każdego roku ginęło ich całe mnóstwo. I zawsze się znajdowały.

Sinterklaas dotarł już do mikrofonu. Niewyraźne, serdeczne słowa rozeszły się po całym Leidseplein.

– Dzieci Amsterdamu...

Pierwsza eksplozja zagrzmiała głęboko, głośno, boleśnie. Dźwiękowi towarzyszyło oślepiające światło, od którego ludzie stojący blisko zatoczyli się i padli na kolana.

Nastąpiła długa chwila ciszy i szoku. A potem szaleńczy, piskliwy krzyk. Pierwszy z wielu.

Wieczorem na Marnixstraat policjanci mieli już czas odsapnąć; wiedzieli, że atak nie był jednak tak groźny, jak się z początku wydawało. Wybuchy zostały spowodowane przez granaty hukowo-błyskowe – przerażające, ale zasadniczo nieszkodliwe. Pewien policjant na służbie doznał pomniejszych oparzeń, gdy próbował usunąć granat rzucony w pobliżu grupki dzieci przy teatrze. Siedem osób trafiło do szpitala na skutek szoku, wstrząsu wywołanego paniką, która później wybuchła, i kilku złamań.

Mogło być o wiele gorzej. Ale jak wszyscy inni na Leidseplein tego popołudnia Hanna Bublik i jej córeczka Natalia tego nie wiedziały. Widziały tylko pandemonium. Gdy Sinterklaas zaczął przemawiać z balkonu, coś śmignęło w powietrzu,

spadło przed budynkiem i wybuchło z nagłym błyskiem i rykiem. Potem nastąpiły dwie kolejne eksplozje i wtedy sytuacja na placu, wypełnionym tysiącami ludzi, w tym mnóstwem dzieci, wymknęła się spod kontroli.

W Gori widziała wojnę na własne oczy. Wiedziała, jak wybuch granat, rozpoznała jasne oślepiające światło i ogłuszający huk, które po nim następują. Gdy trzeci pocisk wybuchł na zatłoczonym placu, pod znajomym uczuciem paniki pojawiła się pośepna determinacja.

Uciekaj.

Ratuj się.

Ukryj się.

Bez słowa chwyciła dłoń Natalii i przyciągnęła dziewczynkę do siebie, rozglądając się dokoła. Zobaczyła morze przerażonych, zdumionych twarzy. W jednej chwili Leidseplein była spokojną masą ludzi. W następnej wyjąłym tłumem. Tę część miasta ledwie znała. Nie miała pojęcia, w którą stronę ruszyć.

Gori nękała ją z wielu powodów. Tam była młoda, niewinna, tam się bała. Gdy jej mąż trzymał wartę przed domem, z bronią w ręku, zaklinając się, że będzie chronił swoją żonę i maleńkie dziecko, ona kulila się z Natalią na strychu, zachodząc w głowę, jak to się stało, że świat jest taki.

Pragnęły jedynie bezpieczeństwa i niewielkich pieniędzy. Politycy prowadzili swoje gry, napuszczali na siebie ludzi mówiących różnymi językami, przedstawicieli różnych kultur, dla swoich osobistych celów, ale to nie miało żadnego znaczenia w ich wyjątkowym świętym miejscu zwanym domem. A oto potwór – czołgi i żołnierze, pojazdy wojskowe, ciężka broń – otaczał miasto, dzielił je na dwie części, zwycięzców i pokonanych połączonych więzami krwi.

Kiedy ledwie uszła z życiem, tuląc maleńkie dziecko w ramionach, tylko przez chwilę oglądając się na poharatane ciało męża leżące przy uliczce prowadzącej do ich skromnego

domu, przysięgła sobie, że już nigdy nie będzie się kuliła ze strachu. Jeśli jeszcze kiedyś zapadną ciemności, będzie walczyć, dopilnuje, by nikt nie zagroził bezpieczeństwu jej bliskich.

W chaosie Leidseplein oznaczało to tylko jedno: myśl o sobie i swoim dziecku, o nikim innym. Rozpychała się więc łokciami, lewą ręką ścisnęła kurczowo różową kurtkę Natalii, porwana ogniem walki. W oddali widziała wąską uliczkę. Mniej zatłoczoną. Reszta ludzi pędziła chyba ku szerszym ulicom.

Z pochyloną głową, przeklinając w języku niezrozumiałym dla otoczenia, skierowała się tam, z dala od dymu i tumultu placu.

Nie przepraszasz. Nie tłumaczysz się.

Taki właśnie świat znała, świat, który zostawił ją zdaną na samą siebie. Musiała samotnie walczyć o przeżycie.

Walcząc, krzycząc, wierzgając i rozpychając, z mocno przyciśniętą do siebie Natalią, przedarła się na obrzeża placu. Nastąpiły jeszcze jakieś wybuchy? Nie wiedziała. To nie było Gori. Na ziemi nie leżały żadne ciała. Nie widziała żadnej krwi. Tylko strach i przerażenie. To wystarczyło.

Nie miała pojęcia, ile to trwało. Nagle nacisk ciał wokół nich zelżał. Znalazła miejsce, by się schylić po córkę i podnieść ją na wysokość piersi, tak jak robiła to w Gori. Teraz było to już inne dziecko. Silne ramiona Natalii objęły ją za szyję. Hanna dźwigała ją z trudem, przebijając się przez rzednący tłum.

Za sobą słyszała syreny. Ludzie krzyczeli. Przez system nagłaśniający, z którego wcześniej korzystał sam Sinterklaas, teraz nadawano komunikaty. Apele, by zachować spokój. By czekać na przybycie pomocy. Wszystko po to, żeby ludzie nie stratowali się nawzajem, uciekając w popłochu.

Tam w Gruzji nikt nie wygłaszał takich apeli. Zresztą pomoc nigdy nie nadeszła.

Jeszcze jedno szarpnięcie i wydostały się. Bez tchu, oszłamiona, z ramionami obolałymi od ciężaru córki, wyrwała

się z tumultu, zanosła Natalię w wąziutką uliczkę, i dalej, potykając się, do zaułka obok budki z kebabami. Postawiła ją na ziemi, dotknęła blond włosów i zastanawiała się, co powiedzieć.

W oczach dziewczynki pojawiło się spojrzenie znane Hannie Bublik aż za dobrze. To nie był po prostu strach, lecz również pełna złości konsternacja, która pojawia się wraz z pytaniem: dlaczego? Nigdy nie padła na nie odpowiedź.

– Mamusiu... – powiedziała Natalia cichym, przerażonym głosem, gdy czekały w cieniu.

– Wszystko dobrze, kochanie – odparła Hanna. – Już po wszystkim. Tu zostaniemy. Wszystko...

Nie wiedzieć czemu nie mogła się opędzić od myśli o słowach Chantal Santos. Że potrzebują łatwiejszych pieniędzy. Lepszego życia. I jeśli nawet oznaczało to noszenie na ramieniu tatuażu z inicjałami tureckiego łotra, to jednak niewysoka cena.

Syreny za jej plecami cichły. Może to tylko brzydki, okrutny kawał. Nikomu nic się nie stało. Amsterdam dał się jej poznać jako miasto bezpieczne, choć upadłe.

– Wszystko będzie dobrze.

– Mamusiu... – powtórzyła Natalia, głosem wciąż przerażonym.

Matka podniosła na nią wzrok. Dziewczynka nie patrzyła na nią. Ramieniem w różowej kurtce wskazywała gdzieś dalej, na coś, co pozostawało poza zasięgiem wzroku Hanny.

Gdy się odwróciła, kątem oka dostrzegła coś zielonego. I poczuła ból. Potem widziała tylko czerń, świat się obrócił, a ona padła na twardą, zimną ziemię.

W takich wypadkach jak ten obowiązywały określone procedury. Zestaw działań szczegółowo zaplanowanych i ćwiczonych latami. Służby ratunkowe już nadciągały na miejsce

zdarzenia, mundurowi policjanci próbowali odgonić ludzi od miejsca eksplozji.

Vos i Bakker starali się oszacować szkody, a Van der Berg bez słowa oddalił się w kierunku przystanku tramwajowego. Wydawało mu się, że stamtąd rzucono granaty.

Pani Kuyper szalała jeszcze bardziej. A to nawoływała swoją córkę, a to krzyczała do telefonu, usiłując się połączyć z mężem.

Bakker próbowała ją pocieszyć. Vos kazał jej odpuścić. W tej chwili na Leidseplein roіło się od ludzi, którzy rozdzielili się z członkami rodziny. Policjanci mieli inne priorytety: zadbać o bezpieczeństwo wszystkich.

Renata Kuyper sypnęła lawiną obelg i ruszyła żwawym krokiem w tłum przed sobą, rozglądając się gorączkowo i nawołując córkę.

Vos chwycił ją za ramię i zatrzymał.

– Znajdziemy pani córkę. Lepiej, żeby pani została na miejscu...

Nagle jej telefon zadzwonił, spojrzała na ekran. Z nadzieją, strachem i zdumieniem.

– To ci niepotrzebne. – Zwarte Piet wyjął telefon z palców Saskii Kuyper, w chwili gdy wcisnęła klawisz skrótu do matki.

Zamrugła powiekami i nic nie powiedziała. Ten mężczyzna był dorosły. Powinien się znać. A jednocześnie wydawał się zdenerwowany. Może bardziej niż ona.

– Tak się właśnie odpala bomby – dodał. – Przez telefon.

Wsadził telefon do kieszeni. Jego lśniący zielony kostium połyskiwał w zimowym słońcu.

Drżąc w swojej różowej kurteczce *My Little Pony*, spojrzała na niego i nie ruszyła się. Znalazł ją pod balkonem teatru, na skraju chaosu, od którego trzymała się z daleka.

Jeszcze nigdy nie słyszała tak wielkiego hałasu. Nie wiedziała, gdzie jest jej matka. Ona tylko podeszła do przodu,

żeby zobaczyć Sinterklaasa na balkonie. Próbowała zerknąć na człowieka w czerwonym stroju, z długą białą brodą, a zaraz ziemia się pod nią zatrzęsała.

– Tatusz chce się z tobą zobaczyć, Saskio. Mamusia też. Zabiorę cię do nich.

Mówił niepewnym głosem, po angielsku. Ton jego głosu nie pasował do czarnej twarzy, czerwonych warg i bielutkich zębów.

Nie ruszyła się. Sięgnął więc do swojej torby i wyjął garść słodyczy.

– No chodź – powiedział, gdy wpatrywała się w błyszczące łałacie w jego odzianych w białe rękawiczki dłoniach.

Tatusz nienawidził słodyczy. Mówił, że są niedobre dla zębów. Że od nich gniją jelita. I że wtedy się śmierdzi jak inne dzieci.

Saskia sięgnęła, by się poczęstować. Chwycił ją za palce. Nie tak mocno, żeby chciała krzyczeć. Tylko by nie mogła odejść.

– Zaprowadzę cię do nich – rzekł i ruchem ręki wskazał mostek nad kanałem.

Prinsengracht. Jej ojciec chodził tam czasami do biura. Raz poszła z nim. Kilka godzin siedziała sama w niewielkim pokoju, podczas gdy on załatwiał sprawę.

Może...

– Chodź – powtórzył mężczyzna i pociągnął ją za rękę.

Nie ruszyła się ani o centymetr. Mocno zaparła się obcasami czarnych skórzanych butów, odchyliła się, by go zatrzymać. Następnie sięgnęła do kieszeni zielonego kostiumu i wykradła telefon, który dostała na ósme urodziny. Tani samsung. A prosiła o iphone'a.

Nie rozpieszczaj jej, mama tak często mówiła.

– Mogę zadzwonić, jeśli zechcę – powiedziała do mężczyzny i znów przyłożyła palec do ekranu. Zdążyła tylko usłyszeć sygnał nawiązywania połączenia, nim mężczyzna wyrwał jej telefon i, trzymając za ramię, pociągnął przez wyjący, zdezoorientowany tłum.

Tak bardzo zdezorientowany, że nikt nie zwrócił uwagi na krzyczącą i wyrwijącą się ośmiolatkę, gdy postać w zieleni ciągnęła Saskię Kuyper z chaosu Leidseplein w puste ulice na uboczu.

Po drugiej stronie placu jej matka, oszalała w kotłującym się tłumie, wciąż patrzyła na ekran swojego telefonu. Niechętnie słuchała znajomego dzwonka, który przypisała mężowi.

Ale nie miała wyboru.

– Henk – zaczęła, zanim się odezwał. – Jesteśmy na Leidseplein. Musisz tu przyjść.

Zamilkła. Obwiniła ją. Już widziała to kąśliwe, osądzające spojrzenie.

I tak musiała to powiedzieć.

– Saskia się zgubiła. Nigdzie jej nie ma.

Dwie minuty po pierwszej eksplozji Frank de Groot, komisarz z Marnixstraat, zadzwonił do Vosa i spytał, czy nic się nie stało jemu ani nikomu z jego zespołu.

– O ile widzę, to nie – odrzekł Vos. – Jak ofiary?

– Chyba nie więcej niż po fajerwerkach. W każdym razie tyle widać z monitoringu. Tak czy owak...

– Widziałeś to?

Po drugiej stronie na chwilę zapadło milczenie.

– O co pytasz?

– Widziałeś, kto je rzucił?

– Ktoś przebrany za Zwarte Pieta. W zielonym stroju. Obok przystanku tramwajowego.

Czyli tak jak mówił Van der Berg.

– Dirk się tym zajął – powiedział Vos. – Dołączymy do niego. Pewna kobieta twierdzi, że ktoś taki śledził ją z Herenmarkt. Może sprawdzisz kamery. I doślij mi trochę ludzi...

– Zaraz, zaraz – przerwał mu de Groot. – Ta sprawa to nie nasz zasięg. Terroryzm...

– A terroryści rzucają fajerwerkami? – spytał Vos zdziwiony.

Pani Kuyper wciąż się kłóciła przez telefon. W oczach miała łzy. Bakker jej nie odstępowała. To nie był zamach bombowy, pomyślała od razu. Żadnej krwi. Tylko mnóstwo przerażonych i zszokowanych ludzi.

Zanim de Groot zdołał odpowiedzieć, Vos dodał:

– Mam tu rodziców, którzy nie mogą znaleźć swoich dzieci.

Musisz wyznaczyć punkt zbiórek.

– Tak, oczywiście. Ale nie chcę, żebyś kogokolwiek ścigał. AIVD się tym zajmuje.

Przez chwilę Vos się zastanawiał, czy aby się nie przesłyszał. AIVD to agencja bezpieczeństwa wewnętrznego. Nie policja. No i co za wyczucie czasu...

– Już? – spytał. – Minęły trzy minuty. Czekali czy co?

– Przeczytałeś okólnik przed akcją? – spytał de Groot. – Stopień zagrożenia terrorystycznego podniesiono na wysoki. Chodzi o tego imama, który siedzi w areszcie deportacyjnym. Podobno...

– Myślałem o Sinterklaasie – przyznał Vos. – Nie o terrorystach.

– Tak. No właśnie... – Z natury de Groot rzadko się wahał.

– Co mam zrobić, Frank?

– AIVD ma na Leidseplein kilku oficerów.

– Więc oni wiedzieli, że może do tego dojść?

– Nie wszystko naraz – odrzekł de Groot z irytacją. – Szeffowa nazywa się Mirjam Fransen. Jeśli...

– Co mam zrobić?

Długa cisza. Wreszcie de Groot powiedział:

– Wszystko, co będą chcieli. Naprawdę sądzisz, że mieliśmy szczęście? Że nikt nie odniósł obrażeń?

Vos się rozejrzył. Plac się powoli uspokajał. Nikt już nie krzyczał. Ludzie próbowali tylko zorientować się w sytuacji. I odnaleźć swoich bliskich.

– Na to wygląda. Musimy usunąć stąd ludzi. – Pamiętał historie o zamachach wtórnych. Gdy pierwszy wybuch miał

tylko zwabić ludzi w miejsce bardziej niebezpieczne. – Nie wiadomo, co jeszcze może się tu wydarzyć.

Po drugiej stronie znowu zapadła długa cisza.

– Już mówiłem – przypomniał de Groot. – Kobieta z AIVD przejmuję dowodzenie. Chcą uniknąć paniki. Wszyscy mają się spokojnie rozejść. Wtedy mogą tam ściągnąć swoich ludzi.

Vos kiwnął głową i rzekł niemal do siebie, półświadomie:

– Tobie to się podoba?

– Zostań na miejscu. Rób, co możesz. Czekaj na wiadomość ode mnie. – De Groot się rozłączył.

Zbliżał się do nich wysoki mężczyzna. Renata Kuyper wpatrywała się w niego z wdzięcznością, a zarazem nieufnie. Stanęli naprzeciwko siebie. On szczupły, w drogim, chyba zimowym płaszczu. Strój biznesowy. Dziwny jak na niedzielę. Po trzydziestce, okulary w ciemnych oprawkach, ciemne włosy, twarz bez wyrazu.

Vos podszedł. Bakker usiłowała pomóc.

– Pan Kuyper? – spytała.

Kiwnął głową.

– Znajdziemy państwa córkę – dodała.

Ostro spojrzął na żonę.

– Mam nadzieję.

Z drugiego końca placu zadzwonił Van der Berg.

– Już myślałem, że go mam, Pieter.

– I?

– Przyjechali ludzie AIVD. – W jego głosie słychać było zdenerwowanie. Nikt nie lubił, gdy służby specjalne wchodziły mu w drogę. – Chyba sądzą, że to ich sprawa.

Vos spytał Van der Berga, gdzie dokładnie się znajduje. Następnie zawołał Bakker, polecił Kuyperom, żeby zostali z mundurowymi. Zastanowił się chwilę i oddzwonił do Van der Berga.

– Nie zaczynaj beze mnie awantury – rzekł. – Zaraz będę.

W ślepych zaułku Hanna Bublik ocknęła się z bólem głowy i stwierdziła, że leży na ziemi. Dotknęła czoła. Bolało, ale krwi nie wyczuła.

Rozejrzała się niespokojnie. Prócz niej w zaułku nikogo nie było. Nigdzie nie widziała różowej kurteczki. Ani nie słyszała cichego, niespokojnego głosu.

Gdy wstawała nieporadnie, zimowe światło ulicy zniknęło i padł na nią cień. Lśniący zieleń, pomalowana na czarno twarz, wielka peruka, czerwone wargi, zero uśmiechu. Przypomniała sobie, że się przewracała, a Natalia krzyczała...

Zebrała się do walki.

Ale mężczyzna podniósł ręce w górę i zrozumiała, że ten Zwarte Piet jest jakiś inny. Pełen poważania. Miał coś w ręce. Policyjną odznakę, a na niej nazwisko: Koeman.

– Nic pani nie jest? – spytał. – Jestem policjantem. – Odsunął się, żeby światło na nią padło. – Co się stało?

– Natalia...

Minęła go i wyszła na plac. Wypełniony ludźmi, spokojniejszy niż wcześniej. Przez głośniki, których wcześniej używał Sinterklaas, ponaglano zebranych, by opuścili rejon najłatwiejszą drogą.

– Ktoś mnie uderzył. Zabrał moją córeczkę.

– Skąd pani jest? – spytał.

To pytanie wydało się jej głupie, bezsensowne.

– A to ważne? Pan mnie rozumie?

– Nic... nic pani nie jest?

– Nic! – krzyknęła i dodała kilka przekleństw, których nie zrozumiał. – Gdzie moja córka? Ktoś ją zabrał!

– Tysiące rodziców szuka tu swoich dzieci – warknął policjant. – Jakiś idiota rzucił pociski dymne czy coś takiego. Proszę mi podać jej imię.

– Natalia.

Wytań policzek rękawem zielonego kostiumu. Charakterystyczna zaczynała mu spływać. Widziała, jak spod niej

wyłania się blada twarz. Chyba był zmęczony. Zmieszany. Wściekły.

– Jeszcze lepiej – rzekł – niech mi pani da jakiś dokument.

Niechętnie, wiedząc, że sytuacja się tylko pogorszy, sięgnęła do torebki po paszport. Podała go, a on mu się przyjrzał.

– Turystka?

– Mieszkam tu. Moja córka nazywa się Natalia Bublik. Ma osiem lat. Kiedy zacznie jej pan szukać?

Oddał jej dokument.

– Ma pani pracę?

– A to ważne?

Otaksował ją wzrokiem. Znała to spojrzenie.

– Ma osiem lat...

– Już pani mówiła – przerwał, po czym z zielonych spodni wyciągnął notes i coś w nim zapisał. – Przekażę jej dane. – Podał jej notes i długopis. – Proszę zostać na obrzeżach placu. I słuchać komunikatów. Zostanie wyznaczony punkt zbiorczy dla zagubionych dzieci...

Wtedy straciła cierpliwość.

– Jakis łajdak mnie uderzył. Zabrał moją córkę. – Wycelowała palec w zieloną bluzę. – Tak był ubrany. Co pan...?

– Albo mała uciekła – przerwał jej policjant. – Przestraszyła się. – Wzruszył ramionami. – Dzisiaj jest mnóstwo przestraszonych ludzi. Tysiące. Usiłujemy zaprowadzić porządek. Pani Hanno...

Wypowiedział jej imię w taki sposób, że od razu zrozumiała. Ten człowiek miał priorytety. I podejrzana Gruzinka, która zgubiła córkę, do nich nie należała.

Rzuciła więc pod jego adresem kilka przekleństw i poszła sama szukać Natalii.

Van der Berg złościł się, stojąc przy przystanku tramwajowym. Tłumy rzędyły. Zespoły medyczne wykonywały swoją robotę, której miały o wiele mniej, niż się spodziewały.

Gdy pojawili się Vos i Bakker, właśnie spierał się z trzydziestoparoletnią kobietą o ostrych rysach twarzy, kruczoczarnych włosach i w eleganckim prochowcu. Na nieruchomej twarzy kobiety widniała opalenizna niechybnie z solarium.

– Poszedł tam – upierał się detektyw, wskazując palcem Lijnbaansgracht, wąską ulicę prowadzącą do centrum sztuki Melkweg.

– Wiemy – odparła kobieta, pokazując im ekran telefonu.

Vos podszedł, przedstawił siebie i Bakker. To była ta Fransen z AIVD, ta o której mówił de Groot. Jakimś cudem weszła już w posiadanie nagrań z kamer na placu. Patrzyli, jak Zwarte Piet w zielonym stroju wyciąga ramię ponad tłumem i rzuca pierwszy granat. Gdzieś wzbil się w górę obłok dymu. I kolejne dwa.

– Wy macie tu utrzymać porządek – powiedziała do policjantów Mirjam Fransen. – Zabierzcie ludzi z placu. Spróbujcie dopasować znalezione dzieci do rodziców.

– Jeśli potrzebujecie pomocy... – odezwał się Vos.

Zadzwoił ogromny telefon. Odebrała na słuchawkach. Rozmowa trwała krótko. I chyba ją zadowolila.

– Nie potrzebujemy – odparła, po czym dziarskim krokiem weszła prosto w tłum, zmierzając w stronę Lijnbaansgracht.

Ucieczka.

Nigdy nie był w tym dobry, także zanim jeszcze zmienił nazwisko.

Lepki pod zielonym kostiumem, świadomy, że czarna farba zaczyna spływać z potem, ściągnął z głowy gorącą, niewygodną perukę i pognął w wąską ulicę, z powrotem do miejsca, z którego wcześniej odebrał ukryty sprzęt.

Pieniądze miał w kieszeni. W życiu nie widział na oczy takiej sumy. Ale nie miał pojęcia, co z nimi zrobić. Jak opłacić swój wyjazd z Amsterdamu. Tamten mężczyzna powiedział, że on to załatwi. Że będzie czekał tam, gdzie zostawił rzeczy.

Powinien czekać. Bouali zrobił wszystko, o co tamten prosił. Rzucił granaty, chociaż te sprawiały raczej wrażenie zabawek. Porwał dziewczynkę, jak kazali. Zabrał ją w miejsce, które zaznaczyli na mapie. Poradził sobie z nią, starając się nie zastanawiać, co robi.

Ale w brudnym ciemnym kącie zastał tylko śmieci i samotnego szczura. Słyszał wrzawę z Leidseplein i od czasu do czasu syrenę zawodzącą wokół placu.

Czekał dwie minuty. Nagle zerwał z siebie resztę stroju Zwarte Pieta. Pod spodem miał białą bluzę i dżinsy. Z przebrania została tylko czerwona torba teoretycznie przeznaczona na słodycze. W niej miał pieniądze. I dowody obciążające. Wyjął gotówkę, pistolet, łuski, podszedł do kanału i wrzucił worek do wody.

Na ostatnie trzy noce zapewnili mu pokój w budynku dla pracowników restauracji niedaleko Dworca Głównego. Teraz nie mógł tam wrócić, byłoby to zbyt niebezpieczne. W tylnej kieszeni dżinsów miał paszport. Na swoje dawne angielskie nazwisko. I zdjęcie z tamtego okresu.

Może...

Syreny się zbliżyły. Nie mógł jasno myśleć.

Wystawił zza rogu głowę i spojrzał w stronę Leidseplein.

Po czym odwrócił się i znowu ruszył biegiem. Mężczyzna o lśniącej czarnej twarzy, farbie spływającej na białą bluzę. Wymachujący rękoma. Z pistoletem za paskiem dżinsów. Biegł niepewnie w stronę wąskiej płataniny ulic, zaułków i kanałów składających się na Jordaan.

Henk Kuyper wydawał się zadowolony, że robi, o co policja prosiła. Miał zostać w pobliżu teatru na Leidseplein i patrzeć, jak rozchodzą się smętne, zszokowane tłumy. Słuchał komunikatów, aż padnie jakieś polecenie. Obiecać zrozpaczonej żonie, że wszystko będzie dobrze. Że nic się nikomu nie stanie.

Punkt zbiórki dla zagubionych członków rodzin znajdował się niedaleko. Piętnaście minut później nadal nie było żadnego śladu po ich córce.

Żona popatrzyła na niego.

– To nie moja wina – powiedziała.

– A czyja? – zapytał, rozglądając się po placu zmrużonymi, uważnymi oczyma.

– Dlaczego zawsze winisz mnie?

– Nieprawda.

– Mogłeś też przyjść, Henk. Mogłeś tu być. Może wówczas...

Zimne, smutne spojrzenie uciszyło ją. Zawsze umiał się nim posłużyć, jeśli chciał.

Wyciągnęła telefon. Rano, zanim się zdenerwowała, że śledzi je Zwarte Piet, zatrzymała pomarańczowy trójkołowiec nad kanałem niedaleko domu Anny Frank na Prinsengracht. Tam zrobiła zdjęcie Saskii w siedzisku z przodu.

Starannie uczesane blond włosy. Ośmiolatka w różowej kurtce z kucykami. Bardzo próbuje się uśmiechać na tle tłumy znudzonych turystów czekających na wejście do muzeum Anny Frank, innego utraconego dziecka.

Ale to nie był ten sam przerażający świat. Nie wojenny Amsterdam pod okupacją potworów. Dzięki pieniądzom rodziny Henka żyli wygodnie. Chronieni przed kryzysami umęczonej gospodarki. Przez swoją pracę popadł w konflikt ze statecznym, patrycjuszowskim ojcem. Ale Lucas Kuyper nigdy nie wstrzymał dopływu pieniędzy. Nie opuszczał ich, spokojny, bezbarwny, gotów pomóc w razie potrzeby.

Nazwisko Kuyper pochodziło sprzed wieków, miało swoje miejsce na amsterdamskiej liście drobnej szlachty. Kuyperowie trzymali się razem i dbali o siebie nawzajem.

– Nam się takie rzeczy nie zdarzają – powiedziała, jakby chciała przekonać samą siebie.

Potem zostawiła go w punkcie zbiórki, ściskając w dłoni telefon. Wciąż miała tam zdjęcie Saskii: maleńkiej postaci

w rowerze cargo. Różowa kurtka była na nią za duża. Zresztą i tak do niej nie pasowała. Nosiła ją wyłącznie dlatego, że Henk przyszedł z nią do domu, mówiąc, że to był instynktowny zakup. Prezent w sumie bez powodu. Robił tak od czasu do czasu. Kochał swoją córkę. Bardziej niż żonę.

Dzierżąc w wyciągniętej ręce telefon z wyświetlonym zdjęciem, Renata przedzierała się powoli przez rzednący tłum, rozpytując, prosząc ludzi, by zerknęli na zdjęcie Saskii i powiedzieli jej, gdzie ona może być.

W jej głowie zrodziła się myśl. Czy tak robią matki na całym świecie? W biedniejszych miejscach? Tam gdzie Henk podobno pomaga? Kiedy wybucha bomba. Albo snajperzy wchodzą do pobliskich budynków.

Matka. Zagubione dziecko. Czy przedstawicielka amsterdamskich elit czymkolwiek różni się od uchodźczynie rozdzielonej z synem czy córką?

Henk miałby tu coś do powiedzenia. Zgryźliwy komentarz, w którym by jej wyjaśnił, jaka jest głupia, że myśli o takich rzeczach. W cokolwiek ona wierzy, społeczeństwo myśli inaczej. Biedni byli biedni. Bogaci byli bogaci. A każdy pomiędzy nimi wydawał się bezsilny, niezdolny cokolwiek zmienić.

On został z innymi zdenerwowanymi rodzicami. Czekał, aż ten dziwny dzień sam wróci do normy. Jakby mieli wziąć rower, wsadzić Saskię do siedziska i pojechać do domu. Zjeść razem kolację, pogadać o tym i owym, gdy on otworzy nieodłączną butelkę wina. Potem on wróci do swojego niewielkiego gabinetu pod dachem, by zatracić się w komputerze i wszystkich tych ludziach, których znał na świecie. Dla niej obcych, a dla niego bliższych niż jego własna rodzina.

Potknęła się, schodząc z chodnika na plac. Jakaś ręka wyciągnęła się, by ją zatrzymać. Spojrzała, cofnęło ją. Kostium Zwarte Pieta. Tym razem czerwony. I znowu ta sama czarna twarz.

Renata odsunęła się od niego, pokazała telefon. Komicznie potrząsnął głową.

Chwiejnym krokiem ruszyła dalej. Zatrzymywała, kogo się dało. Wiedząc, że to głupie. Henk użyłby słowa „nieracjonalne”. Bezmyślne. Nieskuteczne. Ale co innego można było zrobić?

Po kilku chwilach przecięła plac. Za nią tłumy nadal się rozchodziły w grzecznych rzędach. Komunikaty nadawane przez głośniki sprawiały wrażenie spokojniejszych. Pełne zachęty, słów pocieszenia. Wzywały zagubionych do wyznaczonego punktu zbiórki. Blisko miejsca, w którym stał Henk.

Wyciągnięta ręka, w głowie pustka. Nigdzie ani śladu Saskii. Nagle jakiś cień padł na jej telefon, czyjaś ręka wyciągnęła się po niego.

Kobieta mniej więcej w jej wieku. O twarzy bardziej zaciętej. Szczupła, w taniej nylonowej kurtce i czarnych dżinsach. Z rozpaczą w oczach, która Renacie wydała się znajoma.

– Widziała ją pani? – spytała kobietę.

Potok słów. Obcojęzycznych. Niezrozumiałych. Ręka znowu sięgnęła po telefon i Renata pomyślała, że to niewłaściwy moment, niewłaściwe miejsce na kradzież. Amsterdam w chaosie, a ta obca żdzira chce tylko ukraść telefon ze zdjęciem dziewczynki na ekranie. Uśmiechniętej, w różowej kurtce.

Gwałtownym ruchem cofnęła rękę, odsunęła się, spojrzała na kobietę groźnie. Tamta powinna wiedzieć.

Nie teraz. Nie wtedy, gdy zginęło dziecko.

Kobieta chwyciła ją za rękę, tę trzymającą telefon, przysunęła ekran do twarzy, wpatrywała się w zdjęcie.

Po czym go puściła, mówiąc w obcym języku coś, co brzmiało jak przekleństwo, spojrzała na Renatę, potrząsnęła głową i ociężałym krokiem oddaliła się w tłum, z pochylonymi ramionami i oczyma pełnymi łez.

Telefon zadzwonił. Henk.

– Mam ją – powiedział. I tylko tyle.

Pierwszy zobaczył ich Vos. Grupa zamaskowanych mężczyzn w czerni, uzbrojonych, w kapturach, pędziła w róg placu, w stronę klubu Melkweg. Uznał, że to funkcjonariusze AIVD.

Nie przejmował się nakazem de Groota, by się trzymać z daleka od sprawy. To jego miasto. Jego ludzie. Dla zamaskowanych mężczyzn nie było tu miejsca.

Koeman ścierał z twarzy resztki czarnej charakterystyki, jęcząc przy tym jak zwykle. Coś, że się zrobił bajzel. Że ludzie – w tym policja – nie wiedzą, co robić.

– Dirk – powiedział Vos do Van der Berga – ty zajmij się sytuacją tutaj. – Obejrzał się na Bakker i Koemana, kazał im iść ze sobą, po czym przecisnął się przez kolejkę rodzin czekających na wydostanie się z placu. Wydostał się poza tłum i zerknął w wąską uliczkę prowadzącą do klubu muzycznego. Mężczyźni już minęli to miejsce, biegli pod szarymi budynkami Raamplein, ścigając daleką postać, która wciąż oglądała się za siebie, przedzierając się przez mostek.

Mężczyzna w białej koszulce i džinsach. Z czarną twarzą jak Koeman.

Vos puścił się biegiem. Jak najszybciej. Bakker była młodsza, w lepszej formie niż oni wszyscy. Widział, że rusza biegiem, długie nogi, długie ręce pracowały miarowo, rude włosy powiewały za jej plecami.

– Mają broń – krzyknął Vos, wiedząc, że nie ma sensu przypominać jej, by trzymała się z daleka.

– Ja też – zawołała, odwracając się i poklepując po kurtce. I już była po drugiej stronie delikatnego wzniesienia mostu, ciężkie kroki tak głośno dudniły na bruku, że niewielkie stadko łysek w przypiływie strachu odleciało z łopotem.

Vos jak zwykle zostawił broń w szafce. W końcu wybierał się na paradę Sinterklaasa. Po co mu była broń?

Jakieś czterysta metrów przed nimi uciekinier skoczył w boczną uliczkę, czarne postacie tuż za nim. Bakker poru-

szała się tak szybko, że już ich doganiała. Była za daleko, by Vos do niej krzyczał. Nawet gdyby to miało sens. Koeman sapał za jego plecami.

Ludzie z AIVD skręcili za rogiem, Bakker deptała im po piętach.

Dirk Van der Berg czekał na Leidseplein, słuchając radia i obserwując, jak ludzie kolejno, cierpliwie opuszczają plac. Miał czterdzieści siedem lat, kondycja pozostawiała wiele do życzenia, lubił piwo. W ciągu bez mała trzydziestu lat spędzonych w amsterdamskiej policji niejedno widział i tym razem coś mu się nie zgadzało.

Rozglądając się po dziwnym tłumie sinterklaasowym, zrozmiał, co to takiego.

Na takich imprezach terroryści nie rzucali niby-granatów. To nie było w ich stylu. Terrorysta to albo tchórz, albo bohater. Ukradkiem podkłada ładunki, montuje na nim zapalnik czasowy i ucieka w bezpieczne miejsce. Albo z dumą niesie ładunek na sobie. Afiszuje się z kamizelką czy bronią, czekając na męczeńską śmierć.

– Coś mi tu śmierdzi – burknął pod nosem i rozejrzał się po placu.

Pani Kuyper zniknęła. Jej mąż również. Van der Berg domyślił się, że znaleźli swoją córeczkę. No bo dlaczego opuściłby punkt zbiórek?

W tłumie zrobiła się luka. Van der Berg zerknął przez nią. Mnóstwo dzieci w odświętnych strojach. I dorosłych.

Na Leidsestraat stał czarny dostawczak. Przed delikatesami Eichholz. Samochód stał na torach tramwajowych, tego dnia nieużywanych, bo z okazji parady Sinterklaasa wstrzymano cały transport publiczny.

Na oczach Van der Berga do tylnych drzwi dostawczaka podszedł Zwarte Piet. Ubrany na zielono. Trzymał za rękę dziewczynkę o blond włosach. I w różowej kurtce. Nie pusz-

czając jej ani na chwilę, otworzył drzwi, po czym wepchnął ją do środka.

Ludzie chcieli jak najszybciej zabrać stąd swoje dzieci. To oczywiste. Van der Berg myślał. Ale samochody prywatne nie mogły dziś wjeżdżać do centrum. Skąd ten się tu wziął?

Nagle dziecko się odwróciło i Van der Berg wszystko zrozumiał. Dziewczynka nie była z tym mężczyzną, on ją zabierał wbrew jej woli.

Ulica przed furgonetką była pusta. Mogli odjechać w ciągu kilku sekund.

Nieokreślony, przelotny strach, taki jaki policjanci odczuwają czasami, gdy w jednej chwili przychodzą im do głowy liczne niepożądane scenariusze.

Może w tym wszystkim nie chodziło o rzucone w tłum nieszkodliwe fajerwerki. W każdym razie nie bezpośrednio. Może chodziło o posianie strachu i wywołanie zamieszania, o przejście dziewczynki wśród chaosu, gdy wiadomo, że choć dziesiątki ludzi zobaczą to porwanie, nie zorientują się, o co naprawdę chodzi.

Ruszył biegiem, z krzykiem. Drogę przeciął mu jeden z szarych wozów, którymi przemieszczali się ludzie z AIVD. Osłony na szybach, szkło ciemne, nieprzepuszczające światła zewnętrznego. Za nim podążyły dwa następane.

Van der Berg odskoczył, klnąc.

Kiedy już miał wolną drogę, dostawczak zniknął.

Przebył długą drogę z pokątnych uliczek Lancashire, gdzie dorastał w biedzie, z matką, która rzadko miała dla niego czas, przez więzienie, aż po odnalezienie się w obcej wierze. Urodził się jako Martin Bowers. Radykalny imam w angielskim meczecie nadał mu nowe miano: Mujahied Bouali. Dwadzieścia cztery lata. Pędził teraz wzdłuż wąskiego kanału w Amsterdamie, a pot wraz z czarną farbą spływał mu po twarzy.

Nie powiedzieli mu, co ma robić, jeśli będzie mu groziła wpadka. To dziwne. Tamci mężczyźni poprzedniego dnia wprowadzili go w szczegóły planu, pokazali mu granaty, które później odebrał wraz z bronią, i powiedzieli wszystko. Co robić. Jak robić. Gdzie uciekać.

Do kryjówek w dzielnicach czerwonych latarni. Ale stąd miał tam daleko. Za daleko.

Teraz biegł po twardym, nierównym bruku, z trudem; z kieszeni wysypywały mu się pieniądze. Nie miał czasu oglądać się za siebie. Gonili go. Próbował złapać oddech, biec równiej, szybciej.

Ale wódka i papierosy z czasów, gdy był jeszcze Martinem Bowersem, zebrały żniwo.

Po lewej zobaczył wąskie przejście. Cień. Może zdoła się ukryć, zgubić pogoń. Uskoczył tam, noga utknęła mu we włazie kanalizacji, padł na ziemię z jękiem, gdy obdzierał sobie kłykie, usiłując ochronić twarz przed zderzeniem z twardymi kamieniami.

Podniósł wzrok i wiedział, że to koniec. Znajdował się w ślepych zaułku, zakończonym wysokim ceglany murem. Żadnych okien. Żadnych ludzi. Tylko śmietniki i zbłąkany kot umykający z rogu, jakby w strachu przed tym, co nastąpi.

– Cholerny kretyń – burknął i usłyszał swój dawny głos, zacięty akcent z Lancashire, z całą nadzieją i odrobiną miłości, którą kiedyś posiadał, odebraną mu przez lata.

Myśl samodzielnie.

Od jakiegoś czasu tego nie robił. Oni robili to za niego.

Kroki za plecami. Metaliczny dźwięk, o którym nie chciał myśleć.

Kobieta – z poważną twarzą, czarnymi włosami. Szefowa. To było widać.

– Nie rób żadnych głupot – rozkazała po angielsku. – Jesteś aresztowany. – Uśmiechnęła się. – Będziesz mówił.

– Ja nic nie wiem – burknął, kryjąc się w cieniu. Wpatrywał się w jej beznamiętną, zaciętą twarz. – Nawet gdybym wiedział...

Otoczający ją mężczyźni trzymali broń w ręku.

– Zobaczmy – odparła. Ruchem głowy dała znak mężczyźnie obok, wielkiemu, silnemu, w kapturze. W jednym ręku trzymał broń. W drugim kajdanki. – Zabierzcie go.

– Kobieta ci rozkazuje?! – krzyknął Bouali swoim chrapliwym, północnym głosem. – I ty niby jesteś mężczyzną?

Ona nie odrywała od niego wzroku. Zimna i bezduszna.

– Rób, co ci kazano, chłopcze – powiedziała. – Ty...

Martin Bowers, Mujahied Bouali, gorączkowo szukał wokół siebie, znalazł broń za paskiem, chwycił ją mocno. Czasami różne rzeczy robił bez namysłu. Rzeczy, które po prostu przychodziły mu do głowy.

Skierował na nich broń, zanim sobie uświadomił, że to robi.

Zadzwoił telefon w kieszeni Vosa. Właśnie mijał Melkweg. Zaklął i stanął, zdyszany, zerknął na wyświetlacz.

Van der Berg. Człowiek, który nie marnował czasu ani słów.

– Co?

– Coś tu się dzieje. Chyba właśnie widziałem porwanie dziecka. W różowej kurtce, jak ta mała, o której mówili.

– Gdzie?

– Przy placu. Czarna furgonetka. Odjechała w stronę centrum. Miałbym numery, gdyby nie ci wszyscy agenci jeżdżący tu jak kretyni. – Zamilkł na chwilę. – Gdzie jesteś? Gdzie jest Laura?

Goni ludzi z AIVD. Zniknęła.

– Zaraz wrócimy. Chyba mają tego człowieka.

– Jakiego człowieka? – krzyknął Van der Berg. – Ja go widziałem tutaj. Gdy pakował dziecko do samochodu. – Znowu chwila przerwy, podczas której obaj myśleli to samo. – Jest ich więcej, prawda?

– Na to wygląda...

Kaczki i łyski zerwały się z kanału, wypełniając powietrze łopotem skrzydeł i niespokojnymi, przenikliwymi krzykami. A potem rozległo się staccato wystrzałów.

Saskia.

Różowa kurteczka. Wysoka postać trzymająca dziewczynkę za rękę. Renata biegła i biegła, długą uliczką, minęła Melkweg, aż wypadła na kanał przy Marnixstraat.

W oddali ujrzała szary nowoczesny budynek, w którym znajdował się komisariat policji. Ależ oni byli bezużyteczni. To Henk ją znalazł. Niedobry Henk. Bezmyślny Henk.

Jeszcze jej to wypomni. Wiedziała o tym. Ale w tym momencie się tym nie przejmowała.

Biegła pochylona, chwyciła córkę, przytuliła ją. Spojrzała na jej bladą, zdumioną twarz i nie ośmieliła się zadać oczywistego pytania: „Gdzieś ty była, do diabła?”.

– Nic jej nie jest – oznajmił Henk bezbarwnym, znudzonym głosem. – Zgubiła się. To wszystko. Chodźmy do domu.

Potargał blond włosy Saskii.

– Kupię lody. Cokolwiek...

Krzyk. Huk, chyba wystrzałów.

Trzy sceny, jednoczesne, odległe od siebie o niespełna kilka kroków, osobne, a jednak powiązane.

Laura Bakker dobiegła do zaułka, do którego wcześniej wpadli funkcjonariusze AIVD w pogoni za Zwarte Pietem. Zakrwawione ciało leżało skulone na ziemi. Stojąca obok kobieta w eleganckim garniturze z zaciętą twarzą mówiła coś do swojego radia.

Gdy tylko Bakker się pojawiła, stanął przed nią mur mężczyzn. Jej legitymacja służbowa nie znaczyła tu kompletnie nic. Mieli pistolety maszynowe. Kamizelki kuloodporne. Kominiarki i pałki. Odepchnęli ją, aż przestała cokolwiek

Detektyw Pieter Vos poszukuje zaginionego dziecka – ośmioletniej dziewczynki, która najprawdopodobniej została porwana omyłkowo. Córeczka biednej gruzińskiej emigrantki była ubrana tak samo jak jedynaczka z bogatej, uwikłanej w międzynarodowe konflikty rodziny. Podczas hucznie obchodzonego dorocznego święta Sinterklaasa nietrudno było pomylić różowe kurteczki z *My Little Pony*... A jednak nic nie jest oczywiste.

Żądania porywaczy mają początkowo wyraźnie polityczny charakter. Media milczą, a sprawę przejmują służby specjalne.

Co łączy współczesne wydarzenia w Amsterdamie z tragedią Srebrenicy sprzed dwudziestu lat? Dlaczego Vos i współpracująca z nim Laura Bakker – jedyni naprawdę zaangażowani w poszukiwania małej Gruzinki i przejęci losem jej matki – wciąż mają utrudniane zadanie?

Czy rzeczywiście porwano „niewłaściwą dziewczynkę”?

Hewson – jak zawsze mroczny – tym razem schodzi wprost do piekieł Amsterdamu. Nie tworzy prostych historii, nie szuka oczywistych powiązań.

A rozwiązanie zagadki zaskoczy jak nigdy dotąd.



cena 37,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII